

## Recenzja filmu „Chata” w reżyserii Stuart Hazeldine

### na motywach powieści Paula Younga

Książka Paula Younga zrobiła furorę czytelniczą. Ponad 20 milionów sprzedanych egzemplarzy, w kilkudziesięciu krajach świata, bodajże w 41, także w Polsce. Czy ekranizacja tej głośnej powieści też będzie filmowym hitem? Tego nie wiem. Jedno jest pewne – inaczej przyjmuje się obraz filmowy, aniżeli słowo pisane. Inne są emocje w czytaniu, inne w oglądaniu. Zresztą każda ekranizacja znakomitej książki, musi zderzyć się z nieubłagalnym porównywaniem jej do pierwowzoru odczytywanego subiektywnie przez każdego z czytelników. Raz wypada to lepiej, raz gorzej, nigdy nie wypada perfekcyjnie. Wcale jednak to nie znaczy, że ekranizacja „Chaty” jest nieudana, to może być bardzo pożyteczny film, choć arcydziełem pewnie nie zostanie.

Książka a w konsekwencji także film opowiada o niezwyklej **podróży-nawróceniu**, która pozwala zrozpaczonemu ojcu o imieniu Mack - którego najmłodsza córka Missy zostaje porwana i brutalnie zamordowana - na nowo odnaleźć sens życia i odkryć ostateczną prawdę o miłości, utracie i przebaczeniu. Dziewczynka została potajemnie uprowadzona i zabita przez pedofila i porzucona w lesie. Policja odnajduje ciało dziewczynki w chacie na pustkowiach Oregonu, gdzie zostawił ją dewiant-morderca. Ojciec Mack nie radzi sobie ze śmiercią córki - ból po stracie i coraz więcej egzystencjalnych pytań sprawiają, że popada on w coraz większą rozpacz obwiniając siebie i rodzinę o śmierć córki. Jego postawa pełna jest buntu także przeciwko Bogu, że na to zezwolił. Rozpacz i bunt stopniowo oddziela go od świata i rodziny i skazuje na nieznośną samotność i brak pogodzenia z samym sobą. Ot cała fabuła, możnaby nawet powiedzieć, że standardowa, w duchu pozytywnego kina amerykańskiego. Pod powłoką jednak takiej narracji, kryje się ukryta siła tego filmu tj. jego siła logicznego argumentu jak pokonywać trudności, zmierzać się z trudnymi pytaniami życia, na które należy sensownie i uczciwie sobie odpowiedzieć.

Po czterech latach od tego dramatycznego zdarzenia pogrążony w smutku ojciec, który nigdy nie pogodził się ze śmiercią córki, otrzymuje tajemniczy list, którego autorem zdaje się być sam Bóg. Zachęca go On do udania się do leśnej chaty (gdzie to wszystko się wydarzyło), niejako do powrotu na miejsce zbrodni, aby przeżyć to jeszcze raz i dokonać życiowego oczyszczenia. Ma tam odnaleźć przebaczenie i pokój serca, który na zawsze odmieni jego życie. Pełen wątpliwości i obaw decyduje się mimo oporów na spotkanie z nieznanym,

myśląc że jest to morderca dziecka, na którym będzie mógł dokonać odwetu. W drodze do wskazanego miejsca ulega jednak wypadkowi samochodowemu, i pozostając w komie (śmierci klinicznej) przeżywa doświadczenie spotkania z Bogiem w Trójcy Świętej, właśnie w scenerii owej leśnej Chaty. Okaze się ono być niezwykle doświadczeniem pozwalającym zrozumieć sens rodzinnej tragedii i zupełnie inaczej spojrzeć na życie i świat. Film jest właśnie o tym spotkaniu w leśnej chacie, o stopniowym odkrywaniu miłosierdzia – względem siebie, drugiego i Boga. Realia powieści i filmu są protestanckie, także sposób narracji, niektóre zwroty, traktowanie religii, niektórych kwestii dogmatycznych – ale nie sądzę, aby to była większa przeszkoda do odbioru tego filmu przez środowiska katolickie. Jak każde dzieło film ma mocne i słabe strony. Mocną stroną jest z całą pewnością naświetlenie i próba rozwiązania problemu uwolnienia się od nienawiści, doznania przebaczenia, zrozumienia woli Bożej, umiejętność pogodzenia się z cierpieniem i złem zalegającym na świecie.

Słabą stroną jest zbytnia personifikacja postaci boskich, jakby spłaszczenie relacji istniejących w obrębie Trójcy i przeniesienie ich na grunt czystych relacji ludzkich. (Muszę jednak dodać że dla niektórych - ta słabość będzie zapewne siłą tego filmu). Nie każdy jest gotowy na takie „spotkanie”, choć niby wiadomo, że Bóg posługuje się ludźmi, aby do ludzi przemawiać. Taki ogląd rzeczy pozbawia dzieło rąbka tajemnicy tak potrzebnej dla wiary. Można mieć wrażenie że film momentami banalizuje niektóre kwestie, za bardzo uczłowiecza, za mało w nim sacrum, bo Bóg jawi się raz w czarnoskórej kobiecie innym razem w skośnookim Azjacie - w konsekwencji grozi to rozwiązaniami artystycznymi bliskimi artystycznego (nie teologicznego) kiczu – a sam obraz Boga wydawać się może za słodki, wprost cukierkowaty, beztroski. Ale mimo wszystko to piękny, uczuciowy i mądry film pozwalający zrozumieć i siebie i swoje relacje do Boga. Film pomagający rozwiązywać ludzkie problemy w materii choćby braku przebaczenia, uzdrawiania relacji w rodzinie, stosunku do wiary. Nie zapominajmy też - to nie jest katechizm, to tylko i aż metafora filmowa pomagająca nam lepiej zrozumieć prawdy wiary. Nie można więc wszystkich scen odbierać dosłownie, lecz w pewnej artystycznej przenośni i symbolice, odkrywając w sobie pokłady do oceny i przeżycia. Miłego i pożytecznego oglądania

Ks. prof. dr hab. Witold Kawecki CSsR

Warszawa 22 luty 2017